Andrzej Krakowski: Pollywood, czyli jak stworzyliśmy Hollywood



Andrzej Krakowski, fot. Jelenia Kultura, YouTube.

Barbara Lekarczyk-Cisek

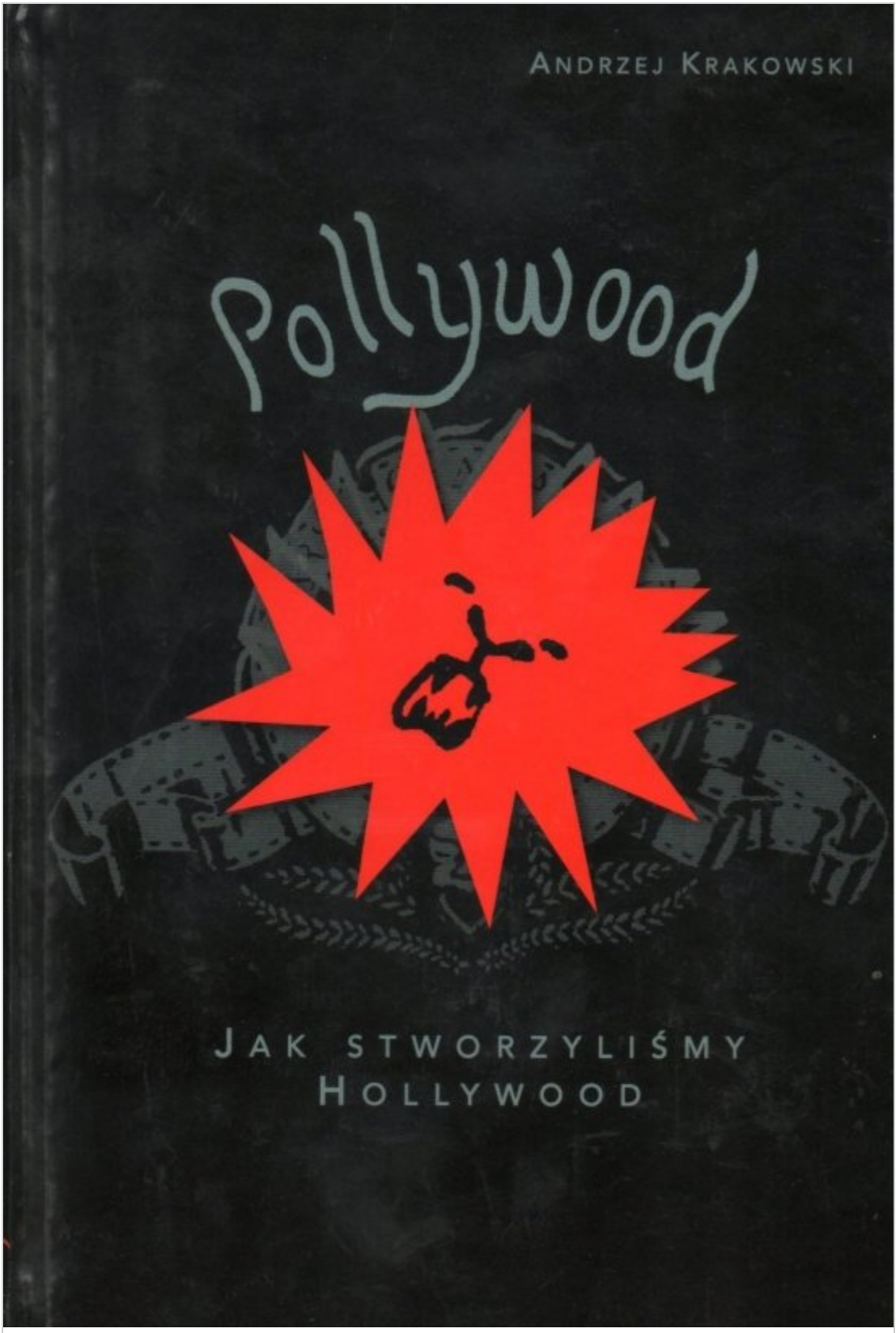
Hollywood stworzyli wizjonerzy i artyści rodem z Polski – twierdzi autor książek. Samuel Goldwyn, bracia Warnerowie, Billy Wilder czy Fred Zinnemann są po prostu nasi.

Stwierdzenie, że Hollywood stworzyli ludzie o polskich korzeniach wydawać by się mogło zbyt śmiałe, odrobinę szalone, a na dodatek megalomańskie. Polacy stworzyli Hollywood?! – zapyta każdy z powątpiewaniem. A jednak to fakt. Wątpiących odsyłam do książek Andrzeja Krakowskiego, który jak nikt dotąd sprawę tę zbadał i opisał. I to jak!

Pierwsza publikacja: ”Pollywood. Jak stworzyliśmy Hollywood” ukazała się w 2011 roku w PWN, ale jakoś przeszła bez echa. W ubiegłym roku Wydawnictwo Blue Bird podjęło temat ponownie i nie tylko starannie wydało tę pozycję, ale również zaplanowało – wychodząc naprzeciw autorowi – następne. W rezultacie w tym roku do rąk czytelników trafiła kolejna część opowieści o stworzeniu Hollywood przez Polaków, zatytułowana tym razem ”Pollywood. Uciekinierzy w raju”, w której krąg nazwisk znacznie się poszerza. Z naszej rozmowy z Andrzejem Krakowskim

wynika, iż autor kończy pisać trzeci tom i że powstaną kolejne, bo liczba nazwisk jest znacznie bogatsza.

Autor, będąc na emigracji, sam ze zdumieniem odkrył, że to właśnie Polacy stworzyli imperium filmowe i nadali mu kształt, który znamy obecnie. Byli wizjonerami, którzy mieli niekonwencjonalne pomysły nie tylko na samą sztukę filmową, ale także na jej dystrybucję w takim kształcie, jaki wszyscy znamy. Uciekając przed biedą i prześladowaniami, trafili do Stanów pasjonaci fotografii i wynalazcy, a także artyści.



Okadka pierwszej publikacji/Blue Bird

Siegmund Lubin – wizjoner kina

O niektórych z nich świat zapomniał. Nazwisko Edisona zna każdy, ale mało kto wie, że wynalazcą wszech czasów był konkurujący z nim Siegmund Lubin, czyli urodzony we Wrocławiu (wówczas Breslau) lub Poznaniu Zygmunt Lubszyński. Wyemigrował do Stanów w 1876 roku. Krakowski barwnie opowiada epopeję tego człowieka, który odziedziczywszy po ojcu profesję, zajął się produkcją soczewek i długo klepał (wraz z rodziną) biedę, zanim osiągnął stabilizację. Mimo ciężkiej wielogodzinnej pracy, miał wielki zapał i znajdował czas na eksperymentowanie z fotografią, a później z filmem.

Zapraszał do siebie miejscowe postacie, przebierał je w kostiumy, inscenizował sceny z życia lub z literatury i fotografował, a następnie układał w sekwencje i … sprzedawał na targach albo w szkołach. Potem odkrył kamerę i było to dla niego niezwykle inspirujące. Kupił od pewnego wynalazcy (Jenkins) ważącą blisko tonę kamerę i niebawem zaczął kręcić filmy. Nie tylko ulepszał sprzęt, ale – co ważniejsze – miał nowatorskie pomysły odnośnie tematyki i formy filmów. Postanowił m.in. przenieść na ekran w odcinkach historię wojny amerykańsko – hiszpańskiej, wyprodukował także całą Drogę Krzyżową (”Misterium pasyjne”). A nie były to jeszcze czasy wytwórni filmowych i filmy kręcono, gdzie się dało.

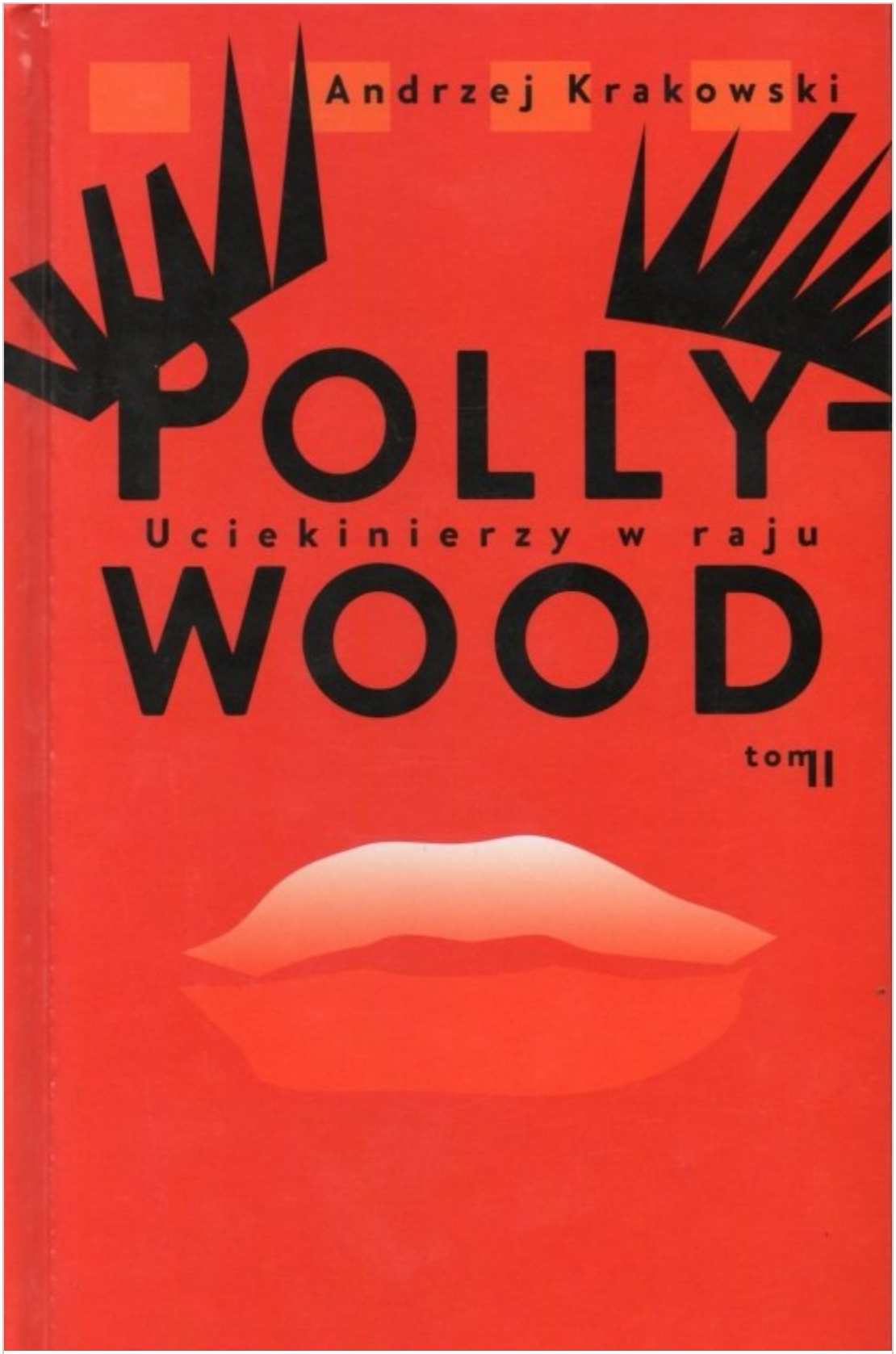
> Jeśli sąsiedzi byli zaniepokojeni – pisze z charakterystycznym dla siebie humorem Krakowski – widokiem pijanego Judasza Iskarioty zataczającego się w ogródku Lubinów lub Szymona Słupnika grającego w kości za stajnią, widok Jezusa krzyżowanego nad ranem w tej żydowskiej dzielnicy wprowadził ich w stan histerii.

To Lubinowi zawdzięczamy utrwalone obrazy prawdziwych pożarów i huraganów, ponieważ wysyłał swoich pracowników do ich filmowania, tworząc tym samym podwaliny pod pierwsze kroniki filmowe. On też jako pierwszy zaczął zakładać kina. I nie były to bynajmniej zgrzebne miejsca jak u konkurencji, ale budynki o wspaniałych fasadach, których zadaniem było przyciągać ”lepszą” publiczność. Inna sprawa, że za tym pompatycznym wystrojem skrywały się twarde i byle jakie krzesła (często pożyczone), za ekran służyła płachta zawieszona na ścianie, projektor niemiłosiernie trajkotał, zaś zdezelowane pianino okrutnie rzępoliło. Takie były siermiężne początki.

Lubin wymyślił także edukację przez film, udostępniając swoje kamery chirurgom do filmowania skomplikowanych operacji. W ogóle rozpiętość jego działalności przyprawia nawet dziś o zawrót głowy. Był kinooperatorem, aktorem, reżyserem, scenarzystą i producentem, a jak by tego było mało – także dystrybutorem i właścicielem kin. Wszystko robił z rozmachem.

Zbudował nawet ogromne studio z halami zdjęciowymi i nazwał je Lubinville.

Bez projektora Lubina – pisze autor – *nie byłoby dzisiaj kin, bez jego wizji nie mielibyśmy sieci multipleksów.* W pewnym momencie był właścicielem trzech wytwórni i we wszystkich otworzył dla swoich pracowników stołówki oraz przedszkola dla ich dzieci. Dał też szansę zaistnienia wielu ludziom, był życzliwy i otwarty. To dzięki niemu Henry King stworzył swoje historyczne filmy, a Oliver Hardy (znany komik z duetu Flip i Flap) zagrał pierwszą rolę.



Okładka najnowszej publikacji/Blue Bird

„Pół żartem, pół serio” nakręcił Polak!

Przytoczyłam przykład zapomnianego pioniera filmu, aby trochę przyszły czytelnik mógł posmakować tego, co nam autor przygotował. Jednakże takich pasjonatów i ludzi nietuzinkowych znajdziemy w książkach Krakowskiego wielu. Jest wśród nich m.in. założyciel wytwórni Metro-Goldwyn_Mayer: Samuel Goldwyn, urodzony w Warszawie jako Szmul Gelbfisch, Louis B. Mayer z Mińska, Lewis Żelaźnik, którego znamy jako Selznicka, bracia Warnerowie z Krasnosielc, a także William Fox, Adolph Zukor, Otto Preminger (z Wiśnicy), Fred Zinnemann z Galicji i wielu innych. Jakże miło jest pomyśleć, że ulubiony western ”W samo południe” czy ukochaną komedię ”Pól żartem, pół-serio” zrobili jednak „nasi”, nieprawdaż?

Mało kto dziś wie, że aktor pierwszego filmu dźwiękowego (”Śpiewak jazzbandu”, 1927) – Al Jolson pochodził z terenów należących do Polski (prawdopodobnie z Sieradza), a Billy Wilder z Suchej Beskidzkiej. Że słynny Charles Bronson to naprawdę Karol Buczyński…

Wielką zaletą książek Andrzeja Krakowskiego jest nie tylko ich potoczysta, pełna humoru, a czasem ironii, narracja, ale także rzetelność biografa. Autor dotarł do wielu źródeł, które w swojej książce przedstawia krytycznie i odnosi się przy tym do własnych doświadczeń, także do osobistych relacji z niektórymi swoimi

bohaterami, których miał szczęście poznać. Znakomicie zna nie tylko ich losy, ale też osadza je w szerokim kontekście społeczno – obyczajowo – politycznym, dzięki czemu lepiej rozumiemy ich motywacje, zachowania – ich osobowości. A były to indywidualności nieprzeciętne, które odcisnęły swój ślad na kolejnych pokoleniach kinomanów. Bez większej przesady można powiedzieć, że bez nich nie bylibyśmy tacy, jacy jesteśmy.

Andrzej Krakowski wykonał pracę, którą nie sposób przecenić – odkrył bowiem dla nas inny, polski Hollywood – Pollywood właśnie, jako część naszego dziedzictwa, którego nie byliśmy dotąd świadomi.

Wywiad z Andrzejem Krakowskim ukaże się na stronie w piątek 2 grudnia.

http://kulturaonline.pl

Lech Majewski: Inspiracją jest zawsze obraz



Lech Majewski

Barbara Lekarczyk-Cisek: *Jest Pan artystą obdarzonym wieloma talentami: pisarskim, poetyckim, malarskim, muzycznym, tworzy też autorskie kino. Ale w młodości zapowiadał się Pan przede wszystkim jako artysta malarz. Podobno, mając bodaj czternaście lat, zorganizował Pan pierwszą wystawę, wybierał się na studia na ASP… Skąd więc nagle kino?*

Lech Majewski: Aby to wyjaśnić, muszę sięgnąć wstecz, do czasów, kiedy jeździłem na wakacje do Wenecji. Często wyjeżdżałem tam jako nastolatek, we Włoszech mieszkał bowiem mój wujek, który był profesorem konserwatorium muzycznego. Właściwie mieszkał w Mediolanie i był krytykiem muzycznym „Corriere Della Sera", specjalizującym się w recenzjach koncertów La Scali, a przez cztery dni uczył historii kompozycji w weneckim konserwatorium. W lecie jego mieszkanie akademickie było wolne, więc zaproponował nam, że możemy z niego korzystać. Tym sposobem spędzałem całe wakacje w Wenecji, w której do dziś pomieszkuję i która stała się najbliższym mi miastem, obok Katowic. W Katowicach narodziłem się fizycznie, a w Wenecji duchowo i … filmowo.

To miasto jest soczewką wszystkiego, co się dzieje w sztuce. Na Biennale w Wenecji poznałem takich twórców współczesnej sztuki, jak Roy Lichtenstein, Andy Warhol czy Giorgio de Chirico. To były czasy, kiedy artyści nie byli tak niedostępni jak dzisiaj.

Oprócz tego obcowałem ze sztuką dawną i byłem zakochany w małym obrazie Giorgione`a, zatytułowanym ”Burza” – bardzo tajemniczym, którego głębia kolorów i aura tajemniczości sprawiały, że spędzałem przy nim całe godziny. W owym czasie malowałem i wybierałem się na Akademię Sztuk Pięknych. Otóż w pewnym momencie tam, w Wenecji, uświadomiłem sobie, że tajemniczą atmosferę z obrazu Giorgione`a niedawno widziałem w kinie, w scenie parku z ”Powiększenia” Antonioniego. Jest w niej brzemienna cisza. Zdałem sobie wówczas sprawę, że gdyby Giorgione żył w naszych czasach, to z pewnością robiłby filmy. Tak więc zdecydowałem się zdawać do szkoły filmowej pod wpływem ”Burzy”, nie wiedząc wiele o filmie. I chociaż nie spełniałem wymogu formalnego (nie miałem ukończonych wyższych studiów), zostałem przyjęty. Wcześniej byłem na konsultacji u Henryka Kluby, któremu pokazałem swoje obrazy, rysunki, fotografie i wiersze. I to on zachęcił mnie do zdawania, dając nadzieję, że dostanę się na studia, jeśli zdam egzamin. Powiedział, że będę eksperymentem i tak się stało. Byłem najmłodszy na roku, o siedem lat młodszy od drugiego najmłodszego studenta.

BLC: *Podobno Antonioni jeszcze raz się Panu przysłużył, kiedy pojawił się osobiście w łódzkiej Filmówce…*

LM: Antonioni nie miał w planach wizyty w szkole filmowej – miał być w „Kwancie”- legendarnym klubie filmowym, którego

szef, Andrzej Słowicki, zaprosił mnie na to spotkanie. Ponieważ jednak następnego dnia rozpoczynałem realizację etiudy pod auspicjami Jerzego W. Hasa, który był niesłychanie wymagający, toteż zrezygnowałem z wyjazdu do Warszawy. Nie znałem wtedy dobrze języka filmowego, a musiałem stworzyć precyzyjny scenopis, którego uczyłem się na pamięć. I tak nie spałem całą noc, bo miałem wyrzuty sumienia, że nie pojechałem na spotkanie z Antonionim, a poza tym przeżywałem mający nastąpić nazajutrz mój pierwszy plan filmowy. Tymczasem w poniedziałek rano w szkole pojawił się niezapowiedziany Antonioni. Dosłownie wyrwałem się z planu, bo mój kierownik produkcji nie chciał mnie wypuścić na to spotkanie. Byłem jednak zdeterminowany. Kiedy się pojawiłem w szkolnej sali kinowej, wszyscy siedzieli w nabożnej ciszy, bo nikt nie ośmielił się zadać pytania. W końcu ktoś zapytał, nawiązując do ”8 i pół” Felliniego, kiedy reżyser zrobi swoje „9”? Na co Antonioni odpowiedział, że już zrobił – ”Zawód reporter”, z którym właśnie przyjechał do Polski na Konfrontacje. W końcu odważyłem się i zadałem praktyczne pytanie o to, czy kiedy idzie na plan, to też się uczy na pamięć scenopisu. Odpowiedział, że przeciwnie – stara się zapomnieć. Zdenerwowała mnie wówczas jego odpowiedź. Pomyślałem, że otrzymałem w odpowiedzi zgrabny *bon mot,* więc mu powiedziałem, żeby sobie ze mnie nie kpił, bo to dla mnie rzecz niezmiernie ważna. Na co uśmiechnął się i odparł, że mnie bynajmniej nie zbył, bo kiedy idzie na plan, to naprawdę nie chce pamiętać, co ma kręcić, tylko patrzy, jak

wygląda świat: jaka jest pogoda, jakie światło, jak się układają włosy jego aktorki… I z tego próbuje zbudować scenę. A jeśli mu to nie wychodzi, wzywa asystenta, żeby mu przypomniał, co mają dzisiaj kręcić.

Poszedłem potem do atelier, na swój plan filmowy – zdruzgotany tym, jak tandetnie wygląda otaczająca mnie rzeczywistość. Wszystko było stare, brzydkie, szwenk w kamerze był luźny, więc operator użył miotły, aby go ustabilizować… W akwarium pływały zdechłe ryby… A tu nagle otworzyły się drzwi, wszedł rektor, Maria Kornatowska, Antonioni i jeszcze ktoś z włoskiej ambasady, otoczeni wianuszkiem kamer. Zachęcono mnie, abym podszedł i wtedy Antonioni uścisnął mi rękę, życząc powodzenia. To jest niesamowite, że w życiu takie rzeczy się zdarzają!

Po latach, kiedy Antonioni umarł, napisałem do ”Rzeczpospolitej” jego nekrolog. A kiedy niedawno byłem we Włoszech, spotkał mnie niesłychany zaszczyt, ponieważ zostałem jurorem festiwalu włoskich filmów dokumentalnych i krótkometrażowych. W związku z tym festiwalem przygotowano galerię portretów włoskich twórców, którzy byli przewodniczącymi jury. Byłem jedynym nie-Włochem i mój portret powieszono obok… Antonioniego. Moment metafizyczny… Potem miałem wykłady na Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie (wł. Accademia Nazionale di San Luca), otrzymałem pięknie wydany album, zawierający znakomite, bardzo wnikliwe analizy wszystkich filmów

Antonioniego.

BLC: *Wróćmy jednak do szkoły filmowej. Kto, poza Wojciechem Hasem, wywarł na Pana wpływ?*

LM: Największy wpływ miał na mnie Has i Królikiewicz. Wykłady Grzegorza Królikiewicza nie dadzą się porównać z niczym. Ten show, który urządzał i jak nas prowokował do myślenia… Do młodych durniów, którymi wówczas byliśmy, przemawiał bardzo skutecznie. Jego zajęcia przypominały amerykańskie filmy sądowe – tak to prowadził. Był zarazem oskarżycielem (naszej bezmyślności), jak też adwokatem filmów. Robił to pięknie! Jego analityczny umysł był niezrównany. Jego wykłady były dla nas wielkim przeżyciem. Z kolei Has był introwertykiem. Przypalał ”Marlboro”, popiół spadał na jego nylonowy golf, w którym wypalał dziury… Cedził słowa, ale w jego podejściu do kina był wielki świat. Ważną dla mnie osobą była także Maria Kornatowska, również bardzo ludzka, prywatna, a jednocześnie światowa. Ponadto Henryk Kuźniak, który był wyjątkowo dobrym pedagogiem wykładając muzykę filmową.

BLC: *Podobno był Pan także na planie filmowym u Ingmara Bergmana…*

LM: Wygrałem wówczas konkurs na scenariusz i pierwszą nagrodą było (w ramach wymiany między szkołami filmowymi)

uczestnictwo w planie filmowym ”Twarzą w twarz”.

BLC: *Jakie wrażenie sprawiał Bergman podczas pracy nad filmem?*

LM: Kiedy rok wcześniej byłem na planie polskiego filmu pewnego znanego reżysera, co i rusz słyszałem, że kręcimy arcydzieło, mimo że był to absolutny gniot. Interesowało mnie więc, co wobec tego mówi na planie twórca prawdziwych arcydzieł. Byłem też dobrze przygotowany ”z Bergmana”. Pojechałem więc do Szwecji i nazajutrz po przyjeździe poszedłem na plan. Wszyscy już od rana dziarsko się uwijali, co wprawiło mnie w zdumienie po uprzednich doświadczeniach, ale przede wszystkim szukałem Bergmana. Sądziłem, że pewno pojawi się na planie jak jakiś cesarz. W końcu zapytałem asystenta producenta. Ten wskazał mi palcem jakiegoś mężczyznę, który klęczał w przepoconej koszuli i przesuwał kabel… Dopiero wtedy rozpoznałem Bergmana.

Miał taki system, że kiedy rozmawiał z aktorami, to zawsze ustawiał się w pozycji niższej niż oni. Poza tym męczył się nad ujęciami jak jakiś, nie przymierzając, debiutant. To była fizyczna walka człowieka z przestrzenią i ze swoim własnym wnętrzem. Mimo że był protestantem, człowiekiem niezwykle precyzyjnym, to jednak dopuszczał do siebie nieznane.

Rozmawiałem z nim potem kilka razy, zawsze bardzo krótko, bo nie był wylewnym człowiekiem. Mówił mi, że w kinie nic nie wiadomo na pewno. Za każdym razem jest tak, jakby się zaczynało od nowa. Przy tego typu podejściu – rzeczywiście tak jest. Gdy obserwuję młodych reżyserów, to są pełni buty. Bergman zaś był obrazem pokory.

BLC: *Czy Pański debiut – "Rycerz" nie jest czasem z ducha Bergmana, z jego "Siódmej pieczęci"?*

LM: Pewnie jest. Ale także z Tarkowskiego… Te filmy mnie fascynowały!

BLC: *Jak to właściwie jest z tymi inspiracjami? Czy na początku jest w Pański wypadku obraz, np. malarstwo Ucella, jak to było w przypadku "Rycerza"? Czy może impulsy płyną z innych źródeł?*

LM: Dzięki Włochom zrozumiałem, że nie można ograniczać się do jednego środka wyrazu. Różne tematy domagają się innej ekspresji. Żyjemy w czasach, w których jest się synonimem albo anonimem. Innymi słowy, albo kogoś się z czymś utożsamia, np. z kinem, tenisem, albo się nie istnieje. Dzisiejszy świat jest tak pogubiony, że żąda od człowieka jednoznacznych rozwiązań. Jeśli coś jest bardziej skomplikowane, zaczyna być podejrzane. Przykładem takiego człowieka, który zajmował się wieloma dziedzinami, jest Leonardo da Vinci. Ale wybacza mu się to ze

względu na ”Monę Lisę”. Nikt nie traktuje poważnie całej reszty.

W moim wypadku inspiracją jest zawsze obraz. To swego rodzaju wizja. Niektóre moje wizje obradzają jak drzewo, a inne nie. Te, które emitują kolejne obrazy, stają się centralnym punktem, rodzajem osi. Z tego rodzi się potem albo teatr, albo opera, albo film, seria video artów, rzeźba… Np. scenę orki w hipermarkecie w ”Onirica” ujrzałem wewnętrznym okiem, robiąc zakupy w takim miejscu.

BLC: *Czy w przypadku ”Angelusa” punktem wyjścia było malarstwo Ociepki?*

LM: Zaczęło się od tego, że przeczytałem w ”NaGłosie” artykuł Seweryna A. Wisłockiego, który opisał fenomen Grupy Janowskiej. W owym czasie interesowałem się kultem proroka Eliasza Klimowicza, który założył Wierszalin, gdzie chciał zbudować raj na ziemi. O ruchu tym pisał w latach 70. prof. Włodzimierz Pawluczuk. Chciałem nawet zrobić adaptację tekstu T. Słobodzianka, ale nic z tego nie wyszło. W tym samym czasie mój św. pamięci przyjaciel Irek Siwiński zwrócił moją uwagę na historię Grupy Janowskiej, sięgającą lat 30. XX wieku. Była to założona przez Teofila Ociepkę gmina okultystyczna, której jedną z form ekspresji było malarstwo. Przeczytanie artykułu Wisłockiego natychmiast zaczęło skutkować wizjami i obrazami. Pojechałem do domu, w którym mieszkał pociotek Teofila

Ociepki, który zaprowadził mnie na strych i dał harfę po malarzu.

BLC: *Po ”Rycerzu” wyjechał Pan za granicę i robił tam filmy bliższe mainstreamowi, np. ”Ewangelię według Harry`ego”. Mimo że w Ameryce doceniono Pańską twórczość i miał Pan tam znakomite warunki, postanowił jednak wrócić. Co Pana do tego skłoniło?*

LM: Mnie dopieszczają i doceniają wszędzie, z wyjątkiem Polski i to mi się najbardziej podoba (śmiech). To mnie trzyma w formie.

http://kulturaonline.pl/

Dantejskie sny Lecha Majewskiego



Lech Majewski, fot. Przemek Dzienis

Korespondencja z Polski

Barbara Lekarzyk-Cisek

„Onirica” to oszałamiająca, bardzo plastyczna wizja filmowa. Poznajcie jej części składowe i przeczytajcie, co mówił o niej reżyser podczas wrocławskiej premiery.

Pięknie skomponowane kadry, nieśpieszna, kontemplacyjna narracja, nastrojowa muzyka, a także czerpanie inspiracji z własnych snów, z języka poezji i z malarstwa – oto, co wyróżnia filmy autorskie Lecha Majewskiego na tle postępującej komercji

kina. Jego najnowsze dzieło – „Onirica" jest – wedle deklaracji reżysera – ostatnią częścią tryptyku, po „Ogrodzie rozkoszy ziemskich" oraz „Młynie i krzyżu". W istocie, wszystkie je łączy wspólny temat: miłości, cierpienia i śmierci. O ile jednak dwa pierwsze zostały zainspirowane konkretnymi obrazami (Boscha i Bruegla), o tyle „Onirica" zdaje się być próbą stworzenia własnego obrazu. Obrazu utkanego ze snów, lektury Dantego, malarskich fascynacji, a także współczesnej rzeczywistości – oczywiście twórczo przetworzonej.

Podczas wrocławskiej premiery filmu (10 kwietnia w Kinie Nowe Horyzonty), Majewski poruszył wiele istotnych tematów. Mówił m.in. o wpływie „Boskiej komedii" Dantego na swój film, o języku symboli, o swoich snach i o tym, że współczesny człowiek stał się bytem wirtualnym. Fragmenty tych wypowiedzi uzupełnią moją próbę analizy filmu.

Obraz jako artystyczna wizja

U źródeł twórczości Majewskiego zawsze leży obraz – artystyczna wizja. Taka też jest pierwsza sekwencja filmu: wnętrze kościoła, z dominującą postacią Anioła (śmierci?), który swoim skrzydłem osłania leżącą na ławie postać kobiecą. W pobliżu siedzi mężczyzna z przymkniętymi powiekami. Okazuje się, że to jego wizja, jego sen…

W „Oniryce” co prawda istnieje pewien rodzaj narracji, ale rządzi się ona regułami snu – jest (zgodnie z tytułem) oniryczna. Obrazy płynnie przechodzą z jednego w drugi, jawa miesza się ze swym przeciwieństwem. Realnością są przeżycia bohatera, który straciwszy w wypadku ukochaną, nie potrafi pogodzić się z ową utratą i błąka się w rzeczywistym świecie, co i rusz się z niego wyłączając i zapadając w marzenia senne. Zresztą całą tę rzeczywistość należałoby również wziąć w cudzysłów, czymże bowiem jest wnętrze hipermarketu o przewrotnej nazwie „Real” albo ekran telewizora, z którego płyną informacje o powodziach, kataklizmach, o katastrofie smoleńskiej..?

– Jeżeli się porusza rzeczywistość i wizualnie nią potrząsa, to ona podsuwa nam różnego rodzaju rzeczy, o których myśmy nawet nie pomyśleli. W 2008 roku napisałem w scenariuszu, że dziewczyna bierze ślub z brzozą. A ile teraz to ma konotacji… Nagle ta wizja, poprzez to, co się wydarzyło w Smoleńsku, nabiera dodatkowego znaczenia.

Kiedyś widziałem na cmentarzu kobietę, która trzymała malutkie dziecko i kiedy zadzwonił telefon, położyła je na grobie. Zobaczyłem w tej scenie początek i koniec – taki niebywały skrót. Trochę to potem zmieniłem w „Angelusie”, gdzie jest czaszka i dziecko, a z kolei w „Ogrodzie rozkoszy ziemskich” kobieta zdejmuje pantofel i dotyka bosą stopą kamienia na cmentarzu w Wenecji.

Od starożytności istnieją wierzenia, że tylko kamień jest w stanie przechować nasze tchnienie. W prymitywnych kulturach umarłemu daje się własnie kamień. W kulturze żydowskiej kładzie się je na grobach. To oksymoron – ale kamień jest „przechowalnią" dusz. Ulegam pewnym swoim wizjom, ale nie wszystkie do końca rozumiem. Np. te woły w supermarkecie. Aby zrealizować tę wizję, poświęciłem półtora roku, a scena trwa 29 sekund…



Kadr z filmu Lecha Majewskiego „Onirica"

Paralele z „Boską komedią" Dantego

Ważnym elementem filmowej narracji są także fragmenty

„Boskiej komedii” Dantego. Nie chodzi jednak tylko o paralele związane z utratą ukochanej. W swoim wcześniejszym poemacie „Vita nuova” („Nowe życie”) włoski poeta opisał własne przeżycia związane ze śmiercią ukochanej Beatrice. Jemu również ukojenie przyniósł sen, w którym zmarła mu się ukazała. Odtąd będzie podążał za nią, sublimując swoje uczucie. Beatrice pojawia się także w „Boskiej komedii” – jako przewodniczka Dantego, prowadząca go do Raju. Zanim to jednak nastąpi, poeta doświadczy kryzysu duchowego i załamania moralnego. Będzie musiał przejść Piekło i Czyściec – poznać grzech i karę, pokutę i nadzieję. Zobaczy nie tylko ukochaną, ale także zagrożoną katastrofami ludzkość. Tę główną myśl odnajdziemy także w filmie Majewskiego.

– „Boską komedię” Dantego znałem od bardzo dawna, ale nie jest to tekst, który można łatwo przyswoić. Potraktowałem poetę bardziej jako malarza, gdyż stwarza on niesamowity gąszcz obrazów, wśród których idąc człowiek może się dotkliwie poranić. Potem te obrazy ulegały przetworzeniu, pojawiały się w moich snach, pojawiały się też w rzeczywistości. W sposób pełny objawił się Dante w rzeczywistości roku 2010. Cały film nie opiera się na Dantem, ale jest peryfrazą i parafrazą „Boskiej komedii”.

Otóż ten 2010 rok rozpoczął się od tego, że zobaczyłem takie zdjęcie: pod Częstochową – bezkresne białe pole, z szeregiem

pokrzywionych słupów, które skrzywił i pogiął szron i lód. Wyglądają jak szereg kostuch z kosami, które idą zebrać żniwo 2010 roku. Taka scen znajduje się na początku mojego filmu.

W wyniku zmian pogody Polskę zalało wówczas pięć dużych powodzi. To były prawdziwe tragedie dla wielu ludzi, którzy potem mieszkali na zalanych terenach, bo musieli tam wrócić, gdyż nie stać ich było na przeprowadzenie się gdzie indziej.

Kiedy robiłem kwerendę we wszystkich stacjach telewizyjnych, znalazłem materiały nakręcone przez operatorów, które były tak przerażające, że nigdy ich nawet nie wyemitowano. Płynące trumny, a obok nich napęczniałe zwłoki krów, które były pożerane przez szczury... Były to prawdziwe sceny dantejskie. Potem nastąpiła tragedia w Smoleńsku – przerażające wydarzenie, które do tej pory budzi zażarte spory.



Kadr z filmu Lecha Majewskiego „Onirica”

Pytania o istotę cierpienia i śmieci

Początkowo bohater zupełnie nie radzi sobie z cierpieniem. Poszukuje jego sensu w wierze, ale ta okazuje się zawodna. Próbuje też racjonalizować swój stan, a właściwie czyni to jego ciotka, u której pojawia się od czasu do czasu. Przytacza ona słowa perskiego poety, mówiące o tym, że z ciemności rodzi się światło. Próbuje także przywoływać rozważania filozofów, szczególnie Seneki i Heideggera, wedle których śmierci de facto nie ma. Nie daje to jednak nieszczęśnikowi żadnej pociechy.

Tej doznaje przede wszystkim w wizjach sennych, które stają się

jego alternatywnym życiem. Porzuca stałe zajęcie (jest profesorem uniwersyteckim, specjalistą zajmującym się znaczeniem symboli), podejmuje pracę w hipermarkecie, ale z miernym skutkiem. Wędrówki odbywa nie tylko w snach, ale również w rzeczywistości, jednak granice między nimi są tak nieostre, że czasami nie wiemy – sen to czy jawa… „Boskiej komedii" słucha – jak współczesny młody człowiek – w wersji audio (w oryginale). Ostatecznie odnajduje swoją Beatryce i w boskiej ekstazie unoszą się ku niebu. Po czym razem, jak Orfeusz i Eurydyka, płyną łodzią w nieznanym kierunku.

– Sartre powiedział, że nadrealizm jest realizmem totalnym. Ja w to też głęboko wierzę, ponieważ mój stosunek do opisywania człowieka jest przeciwny do typowego kinowego opisu, który polega na oddawaniu jego ruchu i jego słów, czyli behawioryzmu w czystej postaci. Ja nie wierzę w takie kino. Mnie natomiast wydaje się, że każdy z nas złożony jest z wielu warstw, tyle w nas funkcjonuje dziwnych obrazów, sekwencji, które nigdy nie wychodzą na światło dzienne. Człowiek jest uwikłany w pewną grę obrazów – bardzo skomplikowaną rzeczywistość wewnętrzną. W człowieku pozornie unieruchomionym jest czasem więcej akcji niż w bohaterze znajdującym się w pędzącym samochodzie.

Uroda obrazu

Pięknie skomponowane kadry, nieśpieszna, kontemplacyjna

narracja, którą niesie także nastrojowa muzyka, autorstwa Majewskiego (do spółki z Józefem Skrzekiem) – stanowią znak rozpoznawczy tego poety i malarza kina. Czerpanie inspiracji z własnych snów, o czym wspominał nieco żartobliwie podczas spotkania z publicznością w Kinie Nowe Horyzonty, inspiracje, malarskie i literackie, wpływ Junga – wszystko to sprawia, że kino Majewskiego jest oryginalne i niepowtarzalne. Ale jednocześnie bliskie człowiekowi jak żadne inne. Żyjąc wśród ekranów, w sztucznym hiperrzeczywistym świecie (jakby powiedział Baudrillard), często zatracamy kontakt z sobą samym, bagatelizując sny i marzenia na jawie. Film zdaje się nam przypominać o tym, jak wiele tracimy. „Onirica" przemawia do widza owym „zapomnianym językiem" symboli i obrazów sennych.

– Lubię czytać symbole – to moja pasja. Uważam, że jest to taki „zapomniany język", który każdy z nas powinien znać, ponieważ wierzę głęboko, że nie jesteśmy osamotnieni w rzeczywistości. Ona się z nami komunikuje, ale czyni to specyficznym językiem, którego nie potrafimy odczytywać. Zauważam u ludzi taką formę „nieistnienia", wirtualnego bytu, to znaczy bytu ograniczonego do odbierania świata przez szkło: szyby samochodu, komputera, telewizora, gry…

Wychodzę z założenia, że widz jest współtwórcą filmu. Poprzez jego odbiór filmów sam bardzo wiele się dowiaduję.

Choć są też obszary w filmie, o których nie wiem i nie chcę wiedzieć. Dużo rozmawiam w ten sposób ze zmarłymi. Większość moich filmów: „Wojaczek”, „Angelus” to jest swoiste przywoływanie duchów.



Kadr z filmu Lecha Majewskiego „Onirica”



Kadr z filmu Lecha Majewskiego „Onirica”

http://kulturaonline.pl/

Polskie filmy w Teksasie

Joanna Sokołowska-Gwizdka


Austin Polish Society presents
10th Austin Polish Film Festival
October 22-25 2015
Marchesa Hall & Theater
6406N IH-35

Projekt plakatu: Leszek Żebrowski, profesor Akademii Sztuki w Szczecinie.

W dniach 22-25 października 2015 roku odbył się w Austin dziesiąty, jubileuszowy Festiwal Polskich Filmów. Polskie kino na tyle weszło na stałe do repertuaru wydarzeń kulturalnych w stolicy Teksasu, że burmistrz miasta ogłosił październik polskim miesiącem, a artyści, którzy przyjeżdżają na festiwal z Polski otrzymują honorowe obywatelstwo City of Austin. W tym roku przyjechał po raz kolejny reżyser i prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich, Jacek Bromski. Jak sobie żartował podczas spotkania, zaszczytne honorowe obywatelstwo nie uratowało go jednak przed karą za przekroczenie prędkości.

Reżyser przyjechał ze swoim najnowszym filmem „Anatomia zła”. Gośćmi festiwalu byli również dwaj muzycy z Austin, którzy brali udział w powstawaniu filmu – Ludek Drizhal i Spencer Gibb, obaj poznani przez Jacka Bromskiego podczas poprzednich festiwali w Teksasie. Ludek Drizhal, kompozytor, dyrygent i producent muzyczny, urodzony w Pradze, jest autorem ścieżki dźwiękowej do tego filmu. To już czwarty jego projekt filmowy z Jackiem Bromskim. Po projekcji Ludek Drizhal opowiadał, jak dobiera się dźwięk do materiału zdjęciowego, ile podejmuje się prób, żeby właściwie oddać klimat akcji filmowej i jak duża różnica jest we współpracy z polskim reżyserem w porównaniu ze współpracą z

reżyserami amerykańskimi. Amerykańskie kino jest bardziej oparte na schematach, w polskim kinie kompozytor ma więcej wolności w kreowaniu obrazu.

Spencer Gibb, brytyjski muzyk, piosenkarz, aktor, autor tekstów i właściciel studia nagrań w Austin, zagrał w filmie epizod. Po projekcji opowiadał o pracy na planie i współpracy z polskim reżyserem.



Od lewej: Zbigniew Banaś, Jacek Bromski, Ludek Drizhal i Spencer Gibb

Filmy fabularne

„Anatomia zła”

Fikcyjna fabuła thrillera luźno nawiązuje do trzech autentycznych wydarzeń – przypadkowe zastrzelenie cywili w Nangar Chel w Afganistanie przez żołnierzy polskiego kontyngentu, zabójstwo gen. Marka Papały, Komendanta Głównego Policji i zaginięcie dziennikarza śledczego Jarosława Ziętary. W Afganistanie poznajemy zdegradowanego sierżanta Waskę (Marcin Kowalczyk), w Polsce – Lulka (Krzysztof Stroiński), byłego płatnego zabójcę, warunkowo wychodzącego z więzienia. Prokurator, który go posadził, daje mu propozycję nie do odrzucenia – Lulek dostaje zlecenie zabójstwa wysoko postawionego funkcjonariusza państwowego i albo zlecenie wykona, albo wraca za kratki. Patrząc na miłego, ciepłego, dobrodusznego emeryta, nie można nie czuć do niego sympatii. Krzysztof Stroiński stworzył postać bogatą pod względem psychologicznym, uwarunkowaną przeszłością, zdeterminowaną teraźniejszością, o dwoistej naturze. Czy niegroźny, miły staruszek to maska, która skrywa bezwzględnego zabójcę, czy też odwrotnie, cynizm jest maską, a konieczność wykonania zadania jest ceną za spokojne życie. Lulek nie jest już tak sprawny, jak kiedyś, niedowidzi, ręce mu się trzęsą, obawia się, że zlecenie może być dla niego za trudne. Dlatego rekrutuje zdegradowanego sierżanta Waskę, który po powrocie do Polski pracuje w myjni samochodowej. Obietnica powrotu do wojska i odzyskanie dawnego statusu jest kusząca. Dlatego Wasko decyduje się na współpracę z Lulkiem. Relacja Lulek-Wasko jest pod względem psychologicznym wielopłaszczyznowa. Lulek

manipuluje swoim współpracownikiem, a jednocześnie jest jego mentorem, spełnia rolę ojca, nauczyciela, przyjaciela. „Wysoko postawiona osoba”, na którą zostało wydane zlecenie spotyka się regularnie ze śpiewaczką operową w jej apartamencie. Dlatego zostaje wynajęty pokój hotelowy na przeciwko budynku, w którym dochodzi do schadzki. Młody snajper bezbłędnie wykonuje zadanie, a ucieczka zabójców z miejsca zdarzenia jest perfekcyjnie zaplanowana. Akcja filmu trzyma w napięciu i spełnia wszelkie kryteria dobrego thrillera. Dlatego dziwi zakończenie. Trudno uwierzyć w motywacje sierżanta Waśki. Jeśli zakończenie w zamierzeniu reżysera, miało przypominać, że każda zbrodnia musi być ukarana, to byłoby zbyt oczywiste.

Anatomia zła/Anatomy of Evil

Scenariusz i reżysreria: Jacek Bromski

Zdjęcia: Michał Englert

Muzyka: Ludek Drizhal

Produkcja: Jacek Bromski Produkcja Filmowa

Premiera: wrzesień 2015

Obsada: Krzysztof Stroiński, Marcin Kowalczyk, Piotr Głowacki,

Michalina Olszańska i inni.

„Jack Strong”

Kolejny thriller pokazywany podczas Festiwalu w Austin oparty jest na losach pułkownika Ryszarda Kuklińskiego, jednego z największych szpiegów drugiej poł. XX w., który jako oficer Ludowego Wojska Polskiego zdecydował się na współpracę z CIA. W filmie poznajemy płk. Kuklińskiego podczas przesłuchania. Nie wiadomo kto i dlaczego go przesłuchuje. Ma się wrażenie, że po latach zostaje przesłuchiwany w Polsce i z polskiego punku widzenia jest rozważany problem zdrady. Jednak pułkownik Kukliński po wyjeździe z Polski nigdy już do niej nie powrócił, jego historia jest opowieścią dla rządu amerykańskiego.

Bohater czy zdrajca? Postać jest tak zbudowana, że nie mamy co do tego wątpliwości, zostanie szpiegiem z powodu wyższej konieczności było nie lada bohaterstwem. Stopniowo poznajemy sytuację, którą znał pułkownik. Rozczarowanie planami Układu Warszawskiego, inwazja na Czechosłowację w 1968 roku, masakra protestujących robotników na wybrzeżu w 1970 roku i realne zagrożenie konfliktem jądrowym, którego ofiarą może paść Polska, skłoniły oficera do skontaktowania się z wywiadem

amerykańskim. Odpowiedzialny za dostarczanie dokumentów dotyczących tajnych planów Moskwy, pułkownik Kukliński stał się kluczową postacią, która doprowadziła do rozpadu Związku Radzieckiego i zmiany sytuacji politycznej w Polsce. Oprócz jednej sceny, jak z Hollywood – pościgu samochodowego i podmianie uciekających, akcja filmu rozgrywa się głównie w zamkniętych pomieszczeniach, co potęguje dramatyzm sytuacji. Film spełnia wszelkie wymogi thrillera szpiegowskiego i trzyma w napięciu, akcja się toczy szybko, zarysowany jest aspekt psychologiczny, sytuacja rodzinna bohatera. Pokazana jest też historia z okresu zimnej wojny, zależność Polski od Związku Radzieckiego i różne postawy wśród oficerów Wojska Polskiego.

Film cieszył się dużym zainteresowaniem amerykańskiego odbiorcy. Po projekcji odbyła się ciekawa rozmowa. Chale Nafus, były wykładowce w departamencie Radia, Filmu i Telewizji rozmawiał z Elliottem Nowacky'm, obecnie koordynatorem programu międzynarodowego w departamencie slawistyki na Uniwersytecie w Austin. Elliot Nowacky przez dwadzieścia lat był oficerem w armii amerykańskiej i specjalistą od Związku Radzieckiego. W jego odczuciu, to właśnie pułkownik Kukliński w dużym stopniu przyczynił się do zmiany sytuacji geopolitycznej w Europie wschodniej i być może uratował swoją ojczyznę od klęski jądrowej, płacąc za to bardzo wysoką cenę – utratę obydwóch synów. Ciekawe pytania i komentarze z widowni świadczyły o tym, że przygotowywano się do odbioru tego filmu.

Jack Strong

Scenariusz i reżyseria: Władysław Pasikowski

Zdjęcia: Magdalena Górka

Muzyka: Jan Duszyński

Produkcja: Scorpio Studio

Premiera: luty 2014

Obsada: Marcin Dorociński, Maja Ostaszewska i inni.

„Miasto 44”

Na filmie o Powstaniu Warszawskim widownia była zapełniona. Przed projekcją wprowadzenie dotyczące historii Polski z okresu II wojny światowej przedstawiła dr Tatiana Lichtenstein z wydziału historii na Uniwersytecie w Austin.

Dla Polaków obecnych na projekcji, znających historię, film był trudny w odbiorze. Wiele osób mówiło, że miało ochotę wyjść lub żałowało, że widziało ten film, ze względu na brutalność scen

wojennych i odmitologizowanie znanej nam z przekazów rodziców czy dziadków historii. Wybuch samochodu-pułapki i lecące na ludzi rozczłonkowane ciała oraz bryzgająca krew, może nawet w najbardziej opatrzonych w brutalnych scenach widzach wywołać dreszcze. Amerykanom, brutalność rzeczywistości powstańczej mogła silnie podziałać na wyobraźnię i uzmysłowić trudne wybory, jakie podejmowali Powstańcy.

Struktura filmu Jana Komasy oparta jest na powstańczych, węzłowych wydarzeniach – „cisza przed burzą", potyczki na cmentarzu zgrupowania „Radosław", odbicie więźniów żydowskich, walki na Starówce i Czerniakowie, przejście kanałami, bombardowanie szpitali, masakra oddziału generała Berlinga, plan ewakuacji pontonami na Pragę, eksterminacja ludności cywilnej. Dziwić może jedynie obraz kanałów z ruchomymi i wilgotnymi ścianami, miażdżącymi ludzi jak w filmie grozy, w kontraście z dzielnicą Warszawy pełnej życia, uśmiechniętych przechodniów, patrzących ze zdziwieniem na wycieńczonych i brudnych Powstańców. Na tło historyczne nakłada się wątek uczuciowy. Scena pocałunku w zwolnionym tempie z karabinowym ostrzałem w tle, czy scena erotyczna rozegrana w rytmie współczesnej elektronicznej muzyki „Skrillexa", sprawiają, że film ma coś z komiksu z trudną do uchwycenia granicą między historyczną realnością a przestrzenią rodem z gier komputerowych. Może młode pokolenie, do którego należy reżyser, tak patrzy na historię.

Obrazowi pokazanemu w filmie sprzeciwiają się uczestnicy Powstania, których poproszono o konsultację. – *My oczekiwaliśmy, że to będzie film, który w pewnym sensie odda i nastrój tamtych chwil i nas samych. Pokaże nas zgodnych, przyjaznych sobie, mających przed sobą pewien cel. A doznałem zawodu* – mówi Edmund Baranowski w artykule Michała Fala (www.natemat.pl). Wśród byłych Powstańców największe wątpliwości wzbudzają sceny seksu, sposób jaki w filmie traktowani są jeńcy oraz wulgaryzmy. Powstańcy mają żal do twórców filmu, że kilkakrotnie poprawiana wersja scenariusza, nie uwzględniła ich uwag.

W filmie zmieszana jest historia, pop, kicz i okrucieństwo. Może to jest właściwy język przemawiający do młodego pokolenia, dzięki któremu młodzi uzmysłowią sobie, że o pokój trzeba było walczyć i nie jest każdemu z góry dany.

Miasto 44

Scenariusz i reżyseria: Jan Komasa

Zdjęcia: Marian Prokop

Muzyka: Antoni Komasa-Łazarkiewicz

Produkcja: Akson Studio

Premiera: 2014

Obsada: Józef Pawłowski, Zofia Wichlacz, Anna Próchniak i inni

„Bogowie”

Film jest opowieścią o wybitnym polskim kardiochirurgu prof. Zbigniewie Relidze, o czasach, w których przyszło mu tworzyć słynną Klinikę Kardiochirurgii w Zabrzu i determinacji, z jaką walczył o każde ludzkie życie. Profesor jest niewątpliwe wybitną osobowością, która zaraża energią swoich współpracowników. Religa pokazany w filmie to przede wszystkim lekarz w służbie pacjenta, nie dbający o zaszczyty, czy pierwszeństwo w dokonywaniu zabiegów, które mogłoby mu przynieść światową sławę. Lekarz, który wybrał pionierską pracę w Polsce, ze wszystkimi ograniczeniami systemu komunistycznego, zamiast skorzystać z propozycji pozostania w Ameryce po odbyciu podyplomowych staży. Pokazane są etapy, które przechodził operacje udane i nieudane, po których przychodził czas załamania. Zabiegi pokazywane były z bliska, widz uczestniczył w otwieraniu ludzkiego ciała, widział pracę organów wewnętrznych. Tak bardzo naturalistyczny obraz nie był

konieczny, choć przybliżał jakże trudną pracę zespołu lekarzy. Autorzy filmu starali się wiernie oddać postać prof. Religi. Nie da się jednak pokazać całego ludzkiego życia w ciągu dwóch godzin, dlatego siłą rzeczy trzeba dokonywać skrótów. Zaledwie zarysowany został wątek rodzinny, żona, która w filmie przegrywa z pracą swojego męża. Nie zostały wspomniane dzieci – syn kardiolog i córka – sinolog. Nie pokazano wyjazdów na wakacje z rodziną, pasji profesora – wędkarstwa itd. Skupiono się na pracy, tworzeniu Kliniki i przeszczepach serca. Pokazany też został prof. Jan Moll z Łodzi, który jako pierwszy w Polsce dokonał (nieudanego) przeszczepu serca w 1969 r.

Dlatego do rozmowy po filmie zaproszona została dr Teresa Łysoń z Austin, absolwentka Akademii Medycznej w Łodzi, która po studiach pracowała w Klinice Kardiochirurgii razem z prof. Janem Mollem. Przybliżyła amerykańskim widzom sytuacje lekarzy w Polsce w czasach komunizmu. Przeczytała też list od kolegi, dr Ryszarda Łupińskiego, który pracował z prof. Religą:

„W tym filmie pokazano go w 95% takim jakim był. Zacząłem pracę u Religi trzy miesiące po pierwszym przeszczepie. (…) Mogę powiedzieć tylko dobre rzeczy o nim. Był to mój najlepszy szef jeśli chodzi o profesjonalizm, osobowość, jako lekarz i osoba prywatna (…). Mieszkałem z nim jakiś czas w tym samym hotelu pielęgniarskim w Zabrzu co ON. W filmie jest scena, jak tam właśnie nieprawdopodobnie się upił po śmierci pacjenta i

przewracał lampy w pokoju.

Nigdy nie mógł zgodzić się ze śmiercią (...). Brał każdego pacjenta, który dla innych klinik nie nadawał się do leczenia (...). Uważał, że każdy musi dostać szansę, nawet jeśli szanse są nikłe. Stąd sztuczne serce i przeszczepy. Kiedyś, jak pracowałem w Singapurze, okazało się, że też go tam znali jako kardiochirurga, który wykonał ostatni u człowieka przeczep xenogenny. Zrobił to na Ochojcu. Pamiętam ten dzień. Wszyscy chodzili ‚na palcach', żeby 'tatusiowi' (tak zwaliśmy go między sobą) nie przeszkadzać i być w gotowości, żeby mu pomóc (...). To był ewenement w medycynie – lekarz najlepszy jakiego znałem na naszym terenie i nie tylko". (dr Ryszard Łupiński).

Bogowie/The Gods

Scenariusz: Krzysztof Rak

Reżyseria: Łukasz Pałkowski

Zdjęcia: Piotr Sobociński, Jr.

Muzyka: Bartosz Chajdecki

Produkcja: Krzysztof Rak, Piotr Woźniak Starak

Premiera: 2014

Obsada: Tomasz Kot, Magdalena Czerwińska, Piotr Głowacki, Kinga Preiss, Marian Opania i inni



Od lewej: Joanna Sokołowska-Gwizdka i dr Teresa Łysoń

“Zbliżenia”

To kolejny po “Pręgach” i “Senności” dramat psychologiczny Magdaleny Piekorz. Tym razem reżyserka pokazuje bardzo trudne relacje pomiędzy matką i córką. Kobiety kochają się i nienawidzą, są na siebie skazane i chcą od siebie uciec. Wchodzimy w świat Marty, zdominowanej przez zaborczą matkę, podejmującej co jakiś czas próby uwolnienia się z więzów matczynej miłości, po czym wracającej do dawnego układu. Nawet zamążpójście nie zmienia sytuacji, niewola emocjonalna trwa nadal. Marta, mimo, że już nie mieszka z matką, nie rozstaje się z telefonem, który bez przerwy daje o sobie znać – „Martusiu, odbierz, tu mama”. Mąż patrząc na sytuację z boku próbuje pomóc w rozwikłaniu pętli, która dusi ich oboje, ale Marta jest za słaba, aby odciąć więź z matką. Powoli zarysowuje się tło wydarzeń, sprawa ojca Marty i błędy matki w budowaniu własnego związku. Odkrycie Marty na temat ojca i spotkanie się z nim też niczego nie zmienia. Każda decyzja Marty jest poddawana analizie i komentowana. Informacja o planowanej ciąży wprowadza matkę w panikę i z całych sił próbuje córce odradzić tę decyzję. Marta sunie po równi pochyłej, a jej małżeństwo wisi na włosku. Matka jednak (świetna rola Ewy Wiśniewskiej) nie umie żyć bez szantażu emocjonalnego i nic do

niej nie dociera. Problem nigdy się nie rozwiąże. Wprawdzie Marta godzi się z mężem, zachodzi w ciąże, ale matka…. jakby na złość, odbiera sobie życie. Tragedia ta spowoduje, że poczucie winy nigdy Marcie nie da spokoju.

Zbliżenia/Close-Ups

Scenariusz: Magdalena Piekorz, Wojciech Kurczok

Reżyseria: Magdalena Piekorz

Zdjęcia: Marcin Koszałka

Muzyka: Adrian Konarski

Produkcja: Studio Tor

Premiera: 2014

Obsada: Ewa Wiśniewska, Joanna Orleańska, Łukasz Simlat i inni

„Obietnica”

Ten dramat psychologiczny o młodzieży wpisuje się w nurt dotychczasowych zainteresowań „reżyserki młodych”, jak nazywana jest Anna Kazejak. Absolwentka łódzkiej „Filmówki” w 2006 roku zrealizowała wraz z Janem Komasą i Maciejem Migasem „Odę do radości”, składającą się z trzech 30-to minutowych etiud. Film zainspirowany był dyskusją na łamach „Gazety Wyborczej” o pokoleniu „Nic”, czyli o młodzieży pozbawionej w Polsce perspektyw i wyjeżdżającej za granicę. Kolejny film Anny Kazejak „Skrzydlate świnie” z Olgą Bołądź i Pawłem Małaszyńskim, również opowiada o młodych ludziach, których połączyła wspólna pasja do futbolu.

„Obietnica” demaskuje świat dorosłych, którzy nie zdają sobie sprawy, jak bardzo ich życiowe komplikacje i zmiana tradycyjnego modelu rodziny, ma wpływ na młode pokolenie. Film oparty jest na autentycznej historii. Licealistka, z rozbitej rodziny, (ojciec założył nową rodzinę w Danii, mama ma młodego kochanka), ma takie poczucie odrzucenia, że nie potrafi wybaczyć swojemu chłopakowi, pocałunku z inną dziewczyną. Lila czuje, jakby cały świat ją opuścił, nikt jej nie chce i nie potrzebuje. Chłopak żałuje, tego co zrobił, ale Lila pragnie zemsty. Janek ma zabić dziewczynę, z którą się całował. Absurdalna propozycja, początkowo odrzucana przez Janka, staje się jednak faktem. Zbrodnia i emecjonalne spustoszenie, które do

niej doprowadziło, na zawsze zmieni życie dwojga młodych ludzi.

Anna Kazejak była gościem tegorocznego Festiwalu Polskich Filmów w Austin. Oto krótka rozmowa z reżyserką.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Proszę podzielić się wrażeniami z festiwalu w Teksasie. Jak Pani odbierała kontakt z publicznością?

Anna Kazejak: Bardzo lubię przyjeżdżać na polonijne festiwale, gdyż na nich można poczuć autentyczne zaangażowanie organizatorów oraz oczekiwanie publiczności na polskie filmy. Stąd z Austin wiążę same ciepłe wspomnienia – począwszy od gościnności osób, u których mieszkałam, kończąc na wieńczącej mój pobyt w mieście rozmowie z publicznością. Widzowie odebrali film niezwykle ciepło i dali temu wyraz w rozmowie po filmie. Jeszcze po powrocie do Polski otrzymywałam wiadomości od ludzi uczestniczących w projekcji, którzy dzielili się swoimi odczuciami po obejrzeniu „Obietnicy”. I byli to, co ciekawe, głównie Amerykanie. To największa nagroda dla filmowca, jeśli spotka się z tak żywą i życzliwą reakcją na swoją pracę.

JSG: Miała Pani warsztaty na Uniwersytecie, jak Pani je ocenia?

AK: Nie ukrywam, że nieco tremowała mnie myśl o wykładzie. Głównie ze względów językowych. Moje obawy okazały się bezpodstawne. Wywiązała się ciekawa dyskusja, podczas której próbowałam podzielić się moimi reżyserskimi doświadczeniami, opowiedzieć o swoich zawodowych błędach, dylematach i strategii na przyszłość. Chciałam też nieco przybliżyć europejski system finansowania kinematografii. Nie wiem na ile rzeczy, o których była mowa przydadzą się studentom, ale ich entuzjazm udzielił się i mnie, więc korzyść była obopólna.

JSG: Należy pani do młodego pokolenia reżyserów. Czy stąd zainteresowanie problemami młodych ludzi?

AK: Chyba powoli przechodzę do grupy średniego pokolenia. Ale nie tylko metryka decyduje o spektrum naszych zainteresowań tematycznych. W moim przypadku tematy, pomysły na pierwsze trzy filmy pojawiły się w szkole filmowej. „Obietnica" zamyka ten okres. Teraz czas na podróż w nieznane.

JSG: W jednym z wywiadów powiedziała Pani, ze następny film będzie dotyczył problemów dorosłych. Ma Pani już jakiś pomysł na kolejny film?

AK: Pracuję obecnie nad nowym filmem, który będzie nosił tytuł „Strach”. Rzecz dzieje się w Bieszczadach i opowiada o spotkaniu kobiety, warszawskiej eskapistki, z ukraińskim emigrantem. Nawiązuje się między nimi dziwna, niejednoznaczna relacja, oparta na strachu i fascynacji jednocześnie. Liczę na to, że choć w niewielkim stopniu uda się uchwyć w filmie europejskie nastroje związane z konfliktem na wschodzie Europy oraz napływającymi do nas emigrantami.

JSG: Czy na tyle interesuje Panią dramat psychologiczny, że będzie nadal Pani zajmować się tym gatunkiem?

AK: Dramat psychologiczny jest mi bardzo bliski, ale dość niszowy. Staram się go zatem łączyć z innymi, tak by film mógł trafić do szerszej widowni. Teraz korzystam z elementów thrillera i mam nadzieję, że ta forma spodoba się publiczności nie tylko festiwalowej, ale i tej kinowej.



Zbigniew Banaś i Anna Kazejak po projekcji filmu „Obietnica”.

Obietnica/The Word

Scenariusz: Anna Kazejak, Magnus von Horn

Reżyseria: Anna Kazejak-Dawid

Zdjęcia: Klaudiusz Dwulit

Muzyka: Kristian Eidnes Andersen

Produkcja: Opus Film

Premiera: 2014

Obsada: Eliza Rycembel, Mateusz Wiecławek, Magdalena Popławska, Andrzej Chyra i inni

Filmy dokumentalne

„Jurek”

Film młodego reżysera, Pawła Wysoczańskiego „Jurek” o himalaiście Jerzym Kukuczce, zrobił na widowni duże wrażenie. Widać było zaangażowanie młodego twórcy i jego ogromną pracę jako archiwisty. Paweł Wysoczański, rocznik 1980, opowiadał po projekcji, że jako kilkuletni chłopiec oglądał programy o Kukuczce w telewizji, kiedy ten zdobywał największe szczyty. Był on dla niego wtedy wielkim bohaterem, człowiekiem niezniszczalnym, któremu nigdy nic nie może się stać, odpowiednikiem Supermana. W wywiadzie udzielonym Annie Czupryn (www.polskatimes.pl) reżyser podzielił się obserwacją – *Vladimir Nabokov pięknie pisze w „Lolicie”, że to, co zdarzy się*

w życiu chłopca, może naznaczyć go na całe życie. Ten podziw z dziecięcych lat znalazł swoje odbicie w filmie dorosłego reżysera.

W dokumencie pojawia się wiele rozmów z samym Jerzym Kukuczką, a także z jego rodziną i przyjaciółmi. Są też rozmowy z innymi himalaistami, m.in. z Reinholdem Messnerem, który jako pierwszy zdobył Koronę Himalajów, czyli czternaście ośmiotysięczników. Kukuczka osiągnął ten sukces jako drugi, ale za to w czasie o połowę krótszym. Messner napisał mu wtedy: ”Ty nie jesteś drugi. Ty jesteś wielki”.

W filmie pokazane jest śląskie środowisko, z którego się wywodził bohater i które ukształtowało determinację w zdobywaniu celu. Widzimy, jak wyglądało przygotowanie wyprawy w czasie, kiedy w sklepach nic nie było, kolejki, zdobywanie prowiantu. Są marzenia, tworzenie rzeczy wielkich i cena, jaką się za nie płaci. Podczas projekcji nasuwały się skojarzenia i pytania: czy takie wyprawy to nie jest egoizm, jeśli ma się rodzinę, czy wyprawy w góry to wyższa wartość, czy dzięki wyprawom można bardziej poznać siebie i wejść w głąb swoich możliwości itd. …. po czym w filmie pojawiała się na nie odpowiedz. Rodzina była niezwykle ważna w życiu himalaistów, bo wiedzieli, że mają dokąd wracać. Rodzina była motywacją, żeby przeżyć.

Piękny motyw filmu, to patriotyzm bohaterów. Zdobywanie szczytów, wbijanie w śnieg polskiej flagi, to było też dla Polski, aby pokazać światu, że nas Polaków na wiele stać.

Film, zrobiony z pasją na pewno pobudził widzów do myślenia, a przykład Kukuczki dał nadzieję, że jeśli ma się marzenia wszystko jest możliwe.

Paweł Wysoczański, gość tegorocznego Festiwalu.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Proszę podzielić się wrażeniami z festiwalu w Teksasie. Jak Pan odbierał kontakt z publicznością?

Paweł Wysoczański: Jestem pod wrażeniem ekipy organizatorów Polish Film Festival w Austin. To idealiści wierzący w to co robią. Szanujący filmy i ich twórców. Dla mnie festiwal filmowy w Austin był okazją do pokazania filmu Jurek publiczności w Teksasie, ale również możliwością zobaczenia samego Teksasu. Doświadczenia Austin. Nowe miejsca, nowi ludzie to część mojego zawodu. Doświadczenie Austin i poznani tam ludzie oceniam jako wyjątkowe. Kończę powoli pokazy filmu „Jurek" w USA. Mój film był pokazywany w ośmiu miastach USA i Kanady, ale doświadczenie Austin traktuję jako najcenniejsze.

JSG: Miał Pan spotkania ze studentami, jak Pan je ocenia.

PW: Mogę wyrazić swoje zadowolenie z pobytu w Austin i spotkania ze studentami. Zwłaszcza rozmowa ze studentami w San Marcos była dla mnie cennym przeżyciem. Ci młodzi ludzie byli szczerze zainteresowani tematem polskiego kina dokumentalnego. Zadawali dużo pytań. Po godzinie spotkanie przypominało rozmowę, a nie wykład. Twórczą rozmowę. Myślę, że to spotkanie było dla obu stron – dla mnie, ale i dla studentów nie tylko wymianą informacji, ale i przeżyciem. Doświadczeniem nieznanych światów.

Jurek, 2015, scenariusz i reżyseria: Paweł Wysoczański, zdjęcia: Jacek Kędzierski, muzyka: Michał Lorenc.



Zbigniew Banaś i Paweł Wysoczański po projekcji filmu „Jurek”.

„Joanna”

Film Anety Kopacz o blogerce, Joannie Sałydze, która choruje na raka, poraża swoją naturalnością i zwyczajnością codziennego życia rodziny. Joanna stara się jak najwięcej przekazać swojemu synkowi, nauczyć go życia, pokazać co jest ważne, a co nie, chce, żeby ją zapamiętał. Widz wie, co się niebawem wydarzy i zwykłe rozmowy dostają innego wymiaru. W filmie obecny jest mąż, ale niczego nie świadomy synek, zadający mnóstwo pytań, jak każde

dziecko w tym wieku, przykuwa uwagę. Jest to film realności, rejestrujący uciekające życie, film z kluczowym pytaniem, co po mnie pozostanie. Aneta Kopacz jest psychologiem i absolwentka szkoły Andrzeja Wajdy. Film świetnie łączy warsztat reżysera z umiejętnością obserwacji psychologa.

Joanna, 2013, scenariusz: Aneta Kopacz, Tomasz Sredniawa, reżyseria: Aneta Kopacz, zdjęcia: Łukasz Zal, muzyka: Jan A.P. Kaczmarek.

„Gry"

Jest to uwspółcześniona adaptacja opowiadania Ireneusza Iredyńskiego „Winda", z Julią Kijowską i Marcinem Bosakiem w reżyserii Macieja Marczewskiego. Dwoje ludzi zostaje zamkniętych w windzie. Zaczynają grę, polegającą na układaniu scenariusza dla własnego życia. Udają kogoś, czy opowiadają swoje życie? Są obcymi ludźmi, czy byli kiedyś małżeństwem? Spotykają się przypadkowo, czy jadą razem? Początkowo widz jest przekonany, że bohaterowie widzą się po raz pierwszy, ale potem stopniowo okazuje się, że są głęboko poranieni, prawdopodobnie przez siebie i zawikłani w sieć pragnień i bólu. Czy uda im się na nowo odbudować relację, udając, że są przypadkowo poznaną parą? Błyskotliwy tekst Ireneusza

Iredyńskiego, bardzo dobra gra aktorów i reżyseria Macieja Marczewskiego sprawiają, że ten 30-to minutowy film pozostaje w pamięci.

Gry, 2013, scenariusz i reżyseria: Maciej Marczewski, zdjęcia: Radosław Ładczuk, muzyka: Łukasz Czeakła, występują: Jylia Kijowska i Marcin Bosak.

Wsrod filmów dokumentalnych na Festiwalu w Austin pokazywane był również filmy: „Obiekt" (2015) Pauliny Skibińskiej, o zimowej akcji ratunkowej nad wodą i pod wodą, „Ludzie na moście" (2014), Beaty Poźniak, oparty o poezję Wisławy Szymborskiej oraz „Las cieni" (2014) Andrzeja Cichockiego, o grupie Żydów uciekającej przez las przed Niemcami podczas II wojny światowej i żydowskim chłopcu, którego ratuje kłusownik.

Filmy animowane

„Hipopotamy"

Film Piotra Dumały wywołał lawinę pytań. Dla jednych był niezrozumiały, inni próbowali go interpretować, jeszcze inni mieli własne odczucia i ocenę. Ten krótki, tonący w odcieniach szarosci film, na pewno prowokował do myślenia.

Grupa nagich kobiet z dziećmi kąpie się w rzece. Z ukrycia obserwuje ich pięciu nagich mężczyzn. Po chwili zbliżają się do kobiet, a jeden z nich podejmuje próbę seksualnego zbliżenia. Odrzucenie sprawia, że reaguje przemocą. Tak zaczyna się brutalny spektakl walki i gwałtu, opowiadający o zderzeniu płci i przemocy jako jednym z fundamentów cywilizacji. Film inspirowany był zachowaniem hipopotamów, ale pokazuje, że człowiek jest również częścią przyrody i rządzą nim podobne mechanizmy. Męska seksualność jest motorem zmian, jeśli nie zostanie zaspokojona, wyzwala agresję, powoduje wojny. Odmienność między płciami polega na tym, że kobieta pragnie dziecka, a mężczyzna pragnie kobiety. Na filmie kobiety, którym mężczyźni zabili dzieci, podejmują z nimi relacje. Tylko jedna z kobiet zostaje z boku. Ponieważ kobiety zostały pozbawione dzieci, bez względu na wszystko dalej chcą mieć dzieci. To jedna z interpretacji. Inna interpretacja jest taka, że film opowiada o kolaboracji z wrogiem, jeśli jesteśmy podporządkowani silniejszemu, łatwiej jest z nim współpracować, niż się opierać. Tylko nieliczni się przeciwstawiają.

Film, mimo, że okrutny, jest wielopłaszczyznowy i wywołał dyskusję.

Hipopotamy, 2014, scenariusz i reżyseria: Piotr Dumała, zdjęcia: Anna Waszczuk, muzyka: Alexander Balanescu.

Z innych filmów animowanych pokazany był film „Signum” (2015) Witolda Gieresza z muzyką Krzesimira Dębskiego, na którym jaskiniowe rysunki praprzodków ożywają i opowiadają historię pierwotnego człowieka oraz „Laska” (2008) Michała Sochy, opowadający o przygotowaniach do randki.

***

Ten bogaty program współczesnego polskiego kina, wywoływał nie kończące się dyskusje jeszcze długo po zakończeniu festiwalu. W tym roku mottem festiwalu były „historie filmowe oparte na faktach”, nie było więc filmów artystycznych. Pokazywane były thrillery, kryminał, filmy psychologiczne, film biograficzny, film historyczny, dokumenty. Widz mógł zapoznać się z wieloma aspektami polskiej historii i kultury, a wstępy prowadzone przez profesjonalistów uzupełniały wiedzę. Jedynie film „Ludzie na moście” Beaty Poźniak był pełnym poezji zarówno w słowie jak i w obrazie filmem artystycznym.

Festiwalowi towarzyszyła niezwykła wystawa Polskiej Szkoły Plakatu, z kolekcji Michała Poniża z Warszawy. Uczestnicy Festiwalu mogli zobaczyć dziesiątki wspaniałych dzieł sztuki plakatowej, autorstwa najwybitniejszych polskich artystów od czasów wojny aż do współczesności.

Po raz pierwszy w tym roku w ramach festiwalu odbył się

konkurs dla młodych twórców. Do finału weszło siedem filmów. Wygrał film „The Night Witch” Alison Klayman.



Od lewej: Angelika Firlej – prezes Austin Polish Society i Joanna Gutt-Lehr – przewodnicząca Komitetu Filmowego, fot. Marek

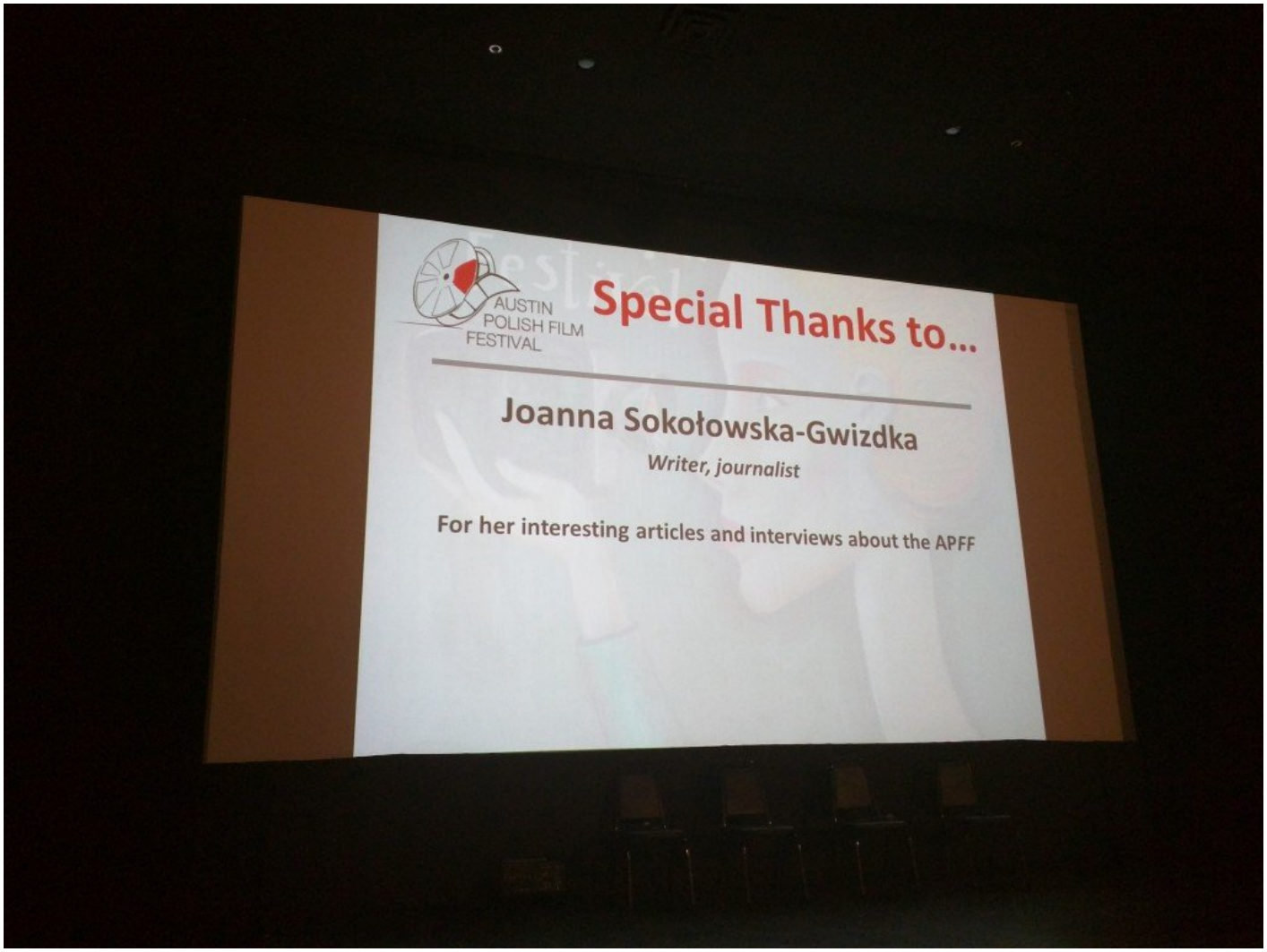
Proga.

Organizatorzy: Joanna Gutt-Lehr, Angelika Firlej, Magda Szatanik-Boudni, Karolina Camara i Joanna Gonczar, włożyli bardzo dużo wysiłku, żeby nie tylko sprowadzić filmy i zorganizować projekcję, ale też żeby zareklamować polski pokaz w amerykańskim środowisku. Festiwal prowadził Zbigniew Banaś, krytyk filmowy, wykładowca w Loyola Univeristy w Chicago.

Pokaz filmów uzupełniony był fantastycznymi daniami polskiej kuchni, przygotowanymi przez Apolonia Catering.

Autorzy zdjęć: Marek Proga, Aneta Hayne i Jacek Gwizdka.


AUSTIN
POLISH FILM
FESTIVAL
2015
© 2015 Jacek Gwizdka


AUSTIN
POLISH FILM
FESTIVAL
Special Thanks to...
Joanna Sokołowska-Gwizdka
Writer, journalist
For her interesting articles and interviews about the APFF